№ 9. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 16 Lutego (28 Lutego) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

FRAGMENT.

Skrzą się gwiazd roje; wieczór jasny, cichy,
Zawisł nad światem, jak anioł marzenia,
Przez rozchylone jaśminów kielichy
Płyną w przestworza balsamiczne tchnienia,
A czasem drzewa szumią liśćmi swemi,
Gdy wiatr wiosenny przelata po ziemi.

* * *

Wokoło pełno anielskiego świtu;
Wieczorny pacierz słowik szle w niebiosa,
Na szmaragdowych łąkach z aksamitu
Dyamentami lśniąca drzemie rosa.
W takiej świątyni cudów i rozkoszy
Błądzę samotna...
...Tu nikt mi nie płoszy
Tej promienistej ptaszyny marzenia;
Wracam więc duszą smętną, roztęskniona,
W różową przeszłość. Lubych dni wspomnienia
Znowu rozkosznie kołyszą mi łono,
Po bladej twarzy łza gorąca płynie,
Jak w tej pamiętnej, szczęśliwej godzinie.

* * *

Tęczowych wspomnień otoczona czary,
Zda mi się, słyszę dźwięk twojego głosu,
Szukam twej dłoni, lecz zwodnicze mary
Giną przedemną wśród świata chaosu,
Więc ciężkie łzami zamykam powieki,
Ścigając myślą cień szczęścia daleki.

* * *

Oh! czyż już nigdy, prócz burz i zawiei,
Promyk pogody nie zalśni w błękicie
I nie ukaże kędy ster nadziei,
Coby mię w nowe wprowadziła życie?
Czyliż już nigdy z głębin mego ducha
Nie pierzchnie zwątpień noc czarna i głucha?

* * *

Wszakże, o Boże, w każdej nowej wiośnie,
Wracasz przyrodzie co jej wzięła jesień,
Kwiaty do słońca wdzięczą się radośnie,
Dzwonią piosenki ptaszęcych uniesień,
Czemuż dla ludzi, Ojcze nasz i Panie,
Nie świta nigdy szczęścia zmartwychwstanie?

M. Chluska.

Z TYGODNIA.

Ponieważ przeciętny Warszawianin zna przynajmniej dwie nadobne panie, które pod pozorem zabaw wprowadzają kieszeń jego w ustawiczną filantropijną zasadzkę, sądzę więc szanowni a wiecznie „karotowani" koledzy, iż zyskam wdzięczność waszę, podając tu nową formę tej dobroczynnej przemocy, jaką nad nami czarodziejki świata wywierają. Nie znaczy to bynajmniej, aby ich rządy sprzykrzeć się miały komukolwiek. Broń Boże! I owszem, otwieramy chętnie kieski nasze, patrząc z rozrzewnieniem (czytaj: ze źle tajonym gniewem) jak ziemskie anioły zawartością chudych tych portmonetek ocierają łzy niedoli. Idę dalej nawet: ilokrotnie odbieram zimą liścik, delikatnem pismem zaadresowany, tyle razy wiem zgóry, iż mieści on bilety na bal, raut, wieczór, wieczorek, gwiazdkę, choinkę, kwestę, jednem słowem na coś, za co zapłacić będę musiał.

I... i rozdarłszy tylko trochę nerwowo kopertę... płacę później. Ile razy zaś ładna kobieta zapyta mnie w karnawale:

— Pan ma już bilecik na bal wśród fiołków?

Odpowiadam z galanteryą:

— Pani, mam już trzy bilety i dlatego — tu ukłon głęboki, — proszę panią o czwarty.

Zjednywa mi to rozkoszny uśmieszek z nową kartą wejścia. Gdy jednak z tych ostatnich uzbiera się zczasem album, gdy dla otarcia łez matkom, sierotom, podrzutkom, dla podtrzymania szwalni, kolonii, szpitala i całej setki przeróżnych instytucyj, każą mi, jak polnemu konikowi, pół życia przeskakać, przyznaję iż zczasem głucha wściekłość mnie porywa.

A że ten bunt utajony musi nie w jednej fermentować duszy, chcąc więc, jako wierny poddany, utrwalić wszechwładzę rządów pięknej połowy nad nami—bo nam nie o istotę rzeczy, lecz o formę jej chodzi i podnoszę tu projekt podany przez jednego z korespondentów petersburskich.

Oto panie, zajmujące się tam filantropią, postanowiły wprowadzić podczas postu rodzaj płatnych wieczorów literacko-artystycznych. Będzie to zawsze odmiana rautu, ale zrywającą z szablonem, stanie się nader urozmaiconą i ciekawą. Zamiast bowiem samych popisów muzycznych, odczytywać mają z estrady, ostatnie a niedrukowane swe utwory, znani poeci, dramaturdzy i noweliści. Wybór całości lub ustępu od nich tylko zależy, lecz wzamian wybór autorów młodych, wnoszących do literatury nową jakąś ideę, lub nowy talent w artystyczną strojny szatę, wybór jednem słowem sił, które na drodze tej prędzej się mogą dać poznać szerokiej publiczności, zawisł od komitetu zabaw jedynie.

Kolonia nasza w stolicy nadnewskiej jest stosunkowo za małą, aby wytwornych piór do wieczorów takich dostarczyła. Projekt jednak, przeszczepiony tutaj, do największego ogniska polskiego życia umysłowego, mógłby — jak sądzę — szalone mieć powodzenie. Nie wątpię bowiem, iż wieczór podobnie urozmaicony, a pociągający kilku głośnemi nazwiskami, więcej przyniósłby uczestnikom swym korzyści i przyjemności nad wątpliwe bale wśród róż, narcyzów, hyacyntów i całej oranżeryi nawet.

Podnoszę projekt; inicyatywa zaś w wykonaniu go, oraz w uszlachetnianiu stopniowem (lecz nie w obniżaniu) poziomu naszych zebrań towarzyskich i ogólnej umysłowości nie do mnie i nie do prasy należy. Rzecz to już pań filantropek, dających przecież tak często firmę swą na bezmyślne zabawy.

Jedna z tych, która dzięki środkom i potężnemu indywidualnemu talentowi, mogła myśl powyższą we właściwe przybrać kształty, zamknęła właśnie na zawsze powieki. Zmarła w mieście naszem Józefina z Reszków Kronenbergowa, słynna przed kilku laty śpiewaczka najpierwszych scen europejskich. Zamknąwszy się w zaciszu domowem, małą w życiu stolicy grała rolę. Niemniej Warszawa wspomina z wdzięcznością, nad świeżą jej mogiłą, gotowość i obywatelską ofiarność, z jaką niedawno oddała pracę swą i talent w całym szeregu przedstawień, na otarcie właśnie łez ubóstwa i niedoli.

Druga śmierć mniej już miejscowe obchodzi koła, a jednak zaznaczamy ją tu z żalem głębokim. Zofia Kowalewska bowiem, o której zgonie w Sztokholmie doniosły niedawno telegramy, wyjątkową była postacią wśród pionierek, walczących o wyższe wykształcenie niewieście. Całe też życie jej stwierdza w sposób niezbity, jak mylnem jest dowodzenie, iż kobiety nie pracują nigdy dla nauki i w imię nauki tylko, lub że niezdolne są do studyów samoistnych w dziedzinie wiedzy ścisłej. Kowalewska w 21 roku życia napisała już rozprawę matematyczną, przechodząc do podręcznika wykładów naukowych, i uniwersytet sztokholmski powołał ją w parę lat później na katedrę matematyki wyższej. Odtąd profesor Kowalewska nie ustaje w pracy. Akademia paryzka przyznaje jej za jedno z dzieł nagrodę 5,000 fr., akademia petersburska zaszczyca ją tytułem członka-korespondenta. Młoda też, trzydziestokilkoletnia kobieta, umierając przedwcześnie, zostawia imię swe zapisane nazawsze w rocznikach wiedzy ścisłej.

A co, panowie sceptycy, czy umysł niewieści uczy się tylko, by gonić za chlebem, za karyerą? Czy w najwyższej swej genialności umie jedynie *odtwarzać* to, co inni *stworzyli?*

Takiego jednak przekonania są wszyscy ci, którzy w grze Modrzejewskiej widzą ostatni wyraz uzdolnienia niewieściego. Zachwyt też dla talentu wykonawczego wytworzył zapewne dziwną gorączkę, z jaką, puszczając w niepamięć wszelkie sprawy, śledzono w zeszłym tygodniu przebieg procesu o zabójstwo Wisnowskiej. Dziś, gdy sprawiedliwości stało się zadość, możemy przejść nad smutną tą zbrodnią do porządku dziennego, żałując jedynie, że nam prasa brukowa tak wiele skandalem podobnym zajmowała czasu.

Czy nie ważniejszą bowiem, nad wstrętne szczegóły tych sprawozdań procesowych, jest wiadomość, która zczasem wielu naszym dworom i dworkom może znaczne źródło dochodu zapewnić? Nieznaczna ona napozór, a jednak bardzo ważna.

Oto ponieważ hodowla jedwabników, przynosząca takie olbrzymie źródło bogactwa na Południu, nie dawała się zaprowadzić w krajach północnych na szeroką skalę, wskutek braku drzew morwowych, które u nas z trudnością rosną, jeden z uczonych doszedł do wyhodowania nowej odmiany jedwabników, żywiących się wyłącznie liśćmi wężymordu. A że roślina ta na każdym gruncie daje się uprawiać i w dzikim nawet stanie obficie podobno rośnie, za lat więc kilka panie naszych dworów wiejskich znajdą przy dobrej woli, pole do pracy gospodarczo domowej, połączonej z poważnem źródłem dochodu, jaki jedwabnictwo innym krajom zapewnia.

Gdy mowa o kokonach, z piersi niejednego obywatela Warszawy, musi ulatywać westchnienie:

— Ach, czemuż się nie urodziłem urzędnikiem Tow. kredytowego?

Do kokona bowiem, oplątującego nierozerwalnemi nićmi ofiarę swą, zaliczyć należy lichwę, która taką siecią otoczyła pracowników instytucyi tej, że aż zarząd postanowił wyasygnować 50,000 rs. na spłacenie ich długów. Każdy więc otrzyma pożyczkę 6 proc. z prawem amortyzacyi wciągu lat dziesięciu, przyczem specjalna komisya układa się z wierzycielami, skupując weksle lichwiarskie jaknajtaniej, a wrazie śmierci urzędnika, Towarzystwo traci sumę zawierzoną i od spadkobierców zwrotu jej wymagać nie ma prawa.

— Ach, czemuż nie jestem pracownikiem Towarzystwa kredytowego! — westchnął obok mnie, składając gazetę, jakiś stary emeryt. To samo, niewypowiadane tylko głośno, życzenie, wyczytałem w oczach modnego eleganta. Żal mi się zrobiło ludzi, z którymi od lat wielu już w tej samej cukierni czytuję dzienniki. Pomny też aforyzmu Dickensa, że „są kłamstwa, na których człowiek świetlanemi skrzydłami wznosi się ku niebu," jąłem im opowiadać, iż mam poufną wiadomość, jakoby wszystkie instytucye warszawskie przyjęły za zasadę takież samo ratowanie pracowników swych w potrzebie.

Oczy ich, te biedne stroskane oczy, zajaśniały radością.

— Jakto, dadzą nam pożyczki, z dziesięcioletnią spłatą?

— Tak słyszałem.

— Czy i redakcye będą się trzymać tego programu? — rzucił ktoś złośliwie.

Wspomniawszy owe „świetlane kłamstwa, unoszące nas ku niebu," odparłem bez zająknięcia:

— Podobno.

I nie pożałowałem tej niewinnej mistyfikacyi. Kółko bowiem całe, pod wrażeniem nadziei, dziwnie się rozpromieniło. Ktoś na prawo projektował, iż wolny od kłopotów, będzie — mającą się otworzyć w Maju koleją konną do Czerniakowa — woził co niedzielę wątłe swe dzieci na zamiejskie wycieczki. Inny zapewniał z głębokiem przekonaniem, że teraz dopiero zacznie „robić pieniądze," a zebrawszy ich dużo, zapisze 120,000, jak Tadeusz Łęczycki, zmarły świeżo pod Neapolem, na dom podrzutków. Wszyscy, z ubyciem troski, myśleli o biedniejszych, o nieszczęśliwych, stawali się lepszymi. Ja zaś, ja, wysunąwszy się z cukierni, zanim bańka ta tęczowa pryśnie, marzyłem, iż może projekt ów urzeczywistni się zczasem, a usta me nuciły równocześnie mimowoli.

„Chociaż to życie idzie jak po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie.

Anatol.

TYLE LAT!

Z CUDZEGO OPOWIADANIA SPISAŁA

T. Prażmowska.

Przed kilku laty zaprosiła mnie do siebie na miesiące letniego wypoczynku daleka krewna moja, panna Ludwika Dołężanka, *stara panna*, niestety, ale pomimo to interesująca i sympatyczna. Powierzchowność jej nawet miłe czyniła wrażenie: postawna, szczupła, gibka, z wdzięcznym na ustach półuśmiechem, ze smętnem lecz pogodnem spojrzeniem oczu, których szafir spiło już pięćdziesięcioletnie blizko przyglądanie się światu, pełna prostoty i godności, wyglądała na to, czem była wistocie, na osobę pogodzoną z życiem i dzielnie stawiającą mu czoło, choć wiało od niej smutkiem cichym, przez lata ukołysanym, przez dumę w głąb serca wepchniętym, przez pracę zagłuszanym cierpliwie. Z historyi jej życia, niedostatecznie w szczegółach mi znanej, wiedziałam, że miała do niego powody, ale nie mówiła o nich nigdy i ja też nie śmiałam dotykać pytaniami zabliźnionej już rany serca.

Od lat kilkunastu straciwszy ojca, mieszkała z dawną ochmistrzynią swoją, sędziwą już dziś staruszką, w rodzinnym domu swoim, wśród ogromnego ogrodu, szumiącego wspaniałemi lip i klonów aleja-mi, wonnego od bzów na wiosnę, od róż i akacyj w lecie, a jesienią od rezedy i dojrzewających na drzewach owoców.

Piękna to była i wygodna rezydencya, położona tuż pod jednem z większych miast gubernialnych, a urządzona ze staraniem i smakiem świadczącym, że właścicielka dba o uprzyjemnienie sobie życia i, stosunków ze światem nie zerwawszy, umila swoje samotność czem może. Mimo to przychodziło mi nieraz na myśl, że ta samotność musi czasami dawać jej się czuć boleśnie, ale nie skarżyła się na nią nigdy. Zapełniała ją sobie pracą, a w braku bliższych węzłów i obowiązków rodzinnych, stworzyła

je sobie sama, otaczając się gromadką dzieciaków, nędzarzy, kalek dla których prawdziwą była opatrznością. Czynna, energiczna, w niesieniu pomocy drugim niestrudzona, uczyła abecadła i pacierza, moralności i porządku, szyła grube koszule, rozdawała półbochenki razowca, szczepiła wyborowe gatunki owoców, powiększała bogatą kolekcyą róż sztamowych, zajmowała się domem i zdawała się niczego nie pragnąć, a nawet nie tęsknić już za niczem.

Była jednak w życiu jej epoka dowodząca, że innej pragnęła dla siebie przyszłości. Lat temu trzydzieści blizko zaręczoną była Ludwika i pewną jestem, że musiała kochać narzeczonego całą siłą tkliwej, prostej, czysto kobiecej natury. Ale lata te były niesprzyjające marzeniom o cichem szczęściu domowem. Pana Kazimierza porwała także zawierucha i poniosła niewiadomo gdzie. — Na Zachód — pocieszali jedni, — na Wschód — mówili drudzy, ale nikt nie umiał powiedzieć nic pewnego, a i zwłok nikt także nie widział. Żył jeszcze ojciec Ludwiki i wszelkich dokładał starań, aby się dowiedzieć o losie przyszłego zięcia, napróżno! Przepadł gdzieś bez śladu; nie wiedziano czy żyw, czy umarły.

Po dwóch czy trzech latach daremnego oczekiwania, Ludwika postanowiła nigdy nie zdjąć żałoby. Usunęła się od świata, oddała się dobroczynności, pielęgnowała starość ojca, po śmierci jego odbyła daleką podróż, a wróciwszy, odzyskała zachwianą tyloma cierpieniami równowagę i rozpoczęła tryb życia, który z małemi odmianami dzisiaj jeszcze pędziła.

Czas upływał, piękne ciemno-blond włosy przypruszyła siwizna, bławatkową barwę źrenic zmywały łzy, pocichu może wylewane, a nieobecny nie dawał znaku życia i nie wiem, czy w najśmielszych przypuszczeniach zamajaczyć mogła komu nadzieja powrotu jego, lub nawet jakiejkolwiek o nim pogłoski.

Ludwika nie mówiła nigdy o narzeczonym; zdaćby się mogło, że zapomniała o nim, gdyby nie ten strój czarny, przez tyle lat z wdowią prostotą noszony, gdyby nie zaręczynowy szafir nigdy z palca niezdjęty, gdyby nie wisząca w jej pokoju fotografia przystojnego mężczyzny, w którego miłej, bardzo jeszcze młodej twarzy uważny fizyognomista wyczytałby brak siły charakteru i męzkiej prawdziwie woli. Prawda, że gdyby się byli pobrali, Ludwika miałaby jej za dwoje.

Czas upływał mi przyjemnie w jej domu. Otoczona poważaniem ogólnem, szanowana za ciche męztwo i cichą ofiarność swoję, imponująca jednym powagą i cnotą, drugim majątkiem i położeniem towarzyskiem, nie gardziła stosownemi dla jej wieku rozrywkami i chętnie bywała wszędzie, gdzie wypadało ukazać się osobie jej wieku i stanowiska. Widywaliśmy więc wszystkich, kogo w mieście i okolicy widywać było warto, a gdy byłyśmy same, nie brakło nam przedmiotu do rozmowy. Mówiło się o wielu, wielu rzeczach, o sprawach i poglądach na nie, o ludziach i o wszystkiem co ludzkie, tylko żadnych kwestyj osobistych nie dotykałyśmy nigdy w rozmowie.

Ranki upływały jej zwykle na pełnieniu dobrowolnie przyjętych obowiązków świeckiej siostry miłosierdzia. W osobnym, na ten cel przeznaczonym pokoiku, w „biurze” swojem, jak mawiała sama żartobliwie, przyjmowała corano każdego, kto jej pomocy potrzebował. Czasami z koszyczkami i węzełkami różnemi wyjeżdżała do miasta, gdzie ekwipaż jej równie był znany w nędznych zaułkach, jak w eleganckich dzielnicach, a podczas jej niebytności dotrzymywała mi towarzystwa ochmistrzyni Gruszecka, z dziecięcą jeszcze, poufałą pieszczotliwością „Grunią” nazywana przez Ludwikę. Ośmdziesięcioletnia przeszło staruszka, daleka krewna Dołęgów, wychowywała niegdyś Ludwikę, którą matka odumarła w niemowlęctwie i fanatycznie przywiązana do swojej wychowanki, dziś jeszcze nie przestawała boleć nad jej losem. Od niej to dowiedziałam się szczegółów tego dramatu, który z niezamężnej uczynił wdowę, wiary dochowującą utraconemu.

— Bo to widzi kochana pani—prawiła staruszka, poprawiając okulary, przy pomocy których nieustannie nabierała gubiące się „na złość” oczka pończochy — Ludwinia od dziecka była zawsze taka jak dzisiaj. Proś, łaj, perswaduj, ona swoje, zatnie się i milczy, jak niema. Całe szczęście, że dobrą naturę miało dziecko i nie zachciewało jej się nigdy nic zdrożnego, bo inaczej niewiadomo, jakby sobie z nią poradzić. Tak też było i z owem kochaniem nieszczęsnem. Nieboszczyk pan sędzia brał na Litwie spadek po stryju swym i wyjeżdżał tam na kilka miesięcy, a że to Ludwisia dorosła już była, dziewiętnastoletnia panna, więc brał ją z sobą ojciec sprezentować rodzinie jedynaczkę. Wiadomo, Litwa, gdzieś aż pod samem Wilnem, ogromny kawał drogi od nas, kolei wówczas nie było, myślałam też, że mi wywożą dziewczyninę na drugi koniec świata i płakałam, jakbym ją na stracenie dawała. Ona wybierała się w drogę z radością, a wciąż przekomarzała się ze mną, że znajdzie tam sobie jakiegoś Litwina i powróci do mnie z zaręczynową obrączką na palcu.

— Co też Ludwinia wygaduje! gniewałam się na nią, bo to trzeba pani wiedzieć, żem to ja z dziada, pradziada koroniarka i tutejszych ludzi tylko lubię,—czy to u nas w sąsiedztwie, a choćby i dalej trochę, nie znajdzie słusznych kawalerów, żeby męża aż zpod Wilna przywozić? Jaki on tam być musi! Boże uchowaj!

— Zobaczy Grunia, jaki będzie—przekomarzała się swawolnica.—W kąt przed nim Podlasiaki, a choćby nawet i Mazury.

I zaśpiewała wesoło:

„Będzie mąż, będzie król,
A ja mu królowa, —
Serce dam, wianek dam,
Niech oboje chowa.

Włoży nam, włoży ksiądz
Dwie obrączki złote, —
Mąż mi pan, mąż mi król,
Proch mu zpred nóg zmiotę.”

Ruszyłam tylko ramionami, bo nie tak to bardzo umiała ona prochy zmiatać zpod nóg komu, i odmówiwszy na jej intencyą koronkę do Opatrzności Bozkiej, odprowadziłam moich podróżnych do pierwszego popasu, przeżegnałam Ludwinię krzyżem świętym, no! i puściłam w drogę. Z ojcem przecie jechała!

Przyszedł list jeden, drugi, Ludwinia donosiła, że jej się na Litwie podoba, że się bawi, że poznała mnóstwo przyjemnych ludzi, ale „króla” nie znalazła dotychczas. I tak żartem, żartem, jakoś weszło jej w zwyczaj wspominać zawsze o tym królu, zupełnie jakby już za nim tęskniła i wyglądała go niecierpliwie.

Raz coś ze dwa miesiące nie było listu i zaczynałam już być niespokojna, czy aby, broń Panie Boże, nie chora. Aż wreszcie przyszedł list, daleko dłuższy niż zwykle: pisze mi Ludwisia to i owo, niby to podawnemu, a jakoś zupełnie inaczej, aż mnie zaraz tknęło coś w serce, że inna już dziś ona, niż dawniej. Dopiero na ostatniej stronicy, na samym brzeżku ostatniej ćwiartki, stała w przypisku najważniejsza z całego listu wiadomość: „Gruniu kochana, złota, najdroższa, pomódl się za mnie z całego serca, bo... bo zdaje mi się, że znalazłam „króla.” Później więcej ci o nim doniosę, a teraz dla uspokojenia powiem to tylko, że nie Litwin, ale z naszych stron, zpod Sandomierza.”

— Ach, pani moja, nigdy może w życiu, nawet wówczas gdy sama szłam do ołtarza, nie modliłam się tak szczerze, tak gorąco. Wiadomo przecie, co to pożycie z mężem: „niewolnica albo połowica, bogdanka albo poddanka” a czy tak, czy owak, zawsze to nie żarty i nie przelewki, jeno święty związek małżeński. Więc też lęk mnie brał okrutny i po nocach sypiać nie mogłam, wciąż myśląc o tym królu mojej Ludwisi. Jezu najsłodszy! — wzdychałam — niech aby nie będzie z nim nieszczęśliwa! i zaraz się ofiarowałam suszyć przez resztę życia piątki na jej intencyą.

— I suszysz je pani dotąd? — spytałam, ciekawa, czy w prostej, pobożnej duszy nie podniósł się bunt rozpaczy, gdy ujrzała swą prośbę niewysłuchaną a obawę nieszczęścia ziszczoną.

— A jakże, pani moja, a jakże! Co się Panu Bogu przyrzekło, tego już odwołać się nie godzi. Suszę, zawsze suszę... tylko że to Pan Bóg wszystko inaczej obrócił, więc teraz powiadam copiątek, na intencyą, żeby pocieszył Bóg Ludwinię.

Westchnęła, zdjęła okulary, przetarła je starannie i znowu nabierać oczka zaczęła.

— Następny list — mówiła dalej — przyszedł we dwa może tygodnie. Po słowie była już Ludwisia, jak pisała.

— I bardzo zakochana? — wtrąciłam z uśmiechem. — Powtórzyła to pewnie w liście z dziesięć razy?

— Boże broń! — oburzyła się staruszka — a gdzieżby to panna skromnie chowana wdawała się w jakieś *ach*-y i *och*-y, jak heroina romansu! Nie, nie pisała w liście że zakochana (ostatni ten wyraz wymówiła Grunia z ironicznym, mnie karcącym przycinkiem) ale to pewna, że musiała oddać serce panu Kazimierzowi, skoro przyrzekła być mu żoną. Wiedziała, że małżeństwo to sakrament i że krzywo przysięgać się nie godzi, a i ja też wiedziałam, że do końca życia dotrzyma danego słowa i nigdy serca nie zmieni.

I dlatego tak się we mnie trwożyło serce, tak mi pilno było zajrzeć temu człowiekowi przez oczy aż na samo dno duszy, bo choć stara i prosta ze mnie kobieta, zawsze przecie na zacności ludzkiej się rozumiem.

— Jakże się pani podobał pan Kazimierz?

— Nie widziałam go nigdy w życiu. W końcu jakoś Października odbyły się owe zmówiny i zaraz potem, jak mi pisała Ludwisia, wracać mieli do domu i tutaj odprawić zaręczyny, bo poczciwe dziecko chciało błogosławieństwa mojego. Zaczęłam więc zaraz przygotowywać wszystko do ich przyjazdu i lada dzień spodziewałam się powrotu. Tymczasem tam, zupełnie jak tutaj u nas, w Listopadzie lać zaczęły dzień po dniu deszcze, a po słocie i roztopach chwyciły nagle mrozy i zrobiła się gruda taka, że ani rusz przejechać po niej. Dopiero w Grudniu usłała się sanna wyśmienita i powróciło mi dziewczę moje, ale p. Kazimierz nie towarzyszył wracającym. Nie mógł! Kochał... pewno że kochał Ludwinię, ale nie ją jednę kochać mu należało i zatrzymał go obowiązek... Obiecywał przyjechać póź-

niej trochę, w Styczniu może. Ale nie przyjechał, nie mógł znowu, nie od siebie już zależał.

— Kiedyż go zobaczyła Ludwika?

— Nie zobaczyła go już wcale. Przez pierwszych kilka miesięcy miewała listy od niego, a potem znikł i przepadł, jakby nawskróś ziemi poszedł. Ani widu, ani słychu. Zostały jej po nim fotografia i pierścionek na palcu, bo rozstając się na dłużej i nie wiedząc, kiedy się znowu zobaczą, zaręczyli się na wyjezdnem.

— Nie zobaczyła go już wcale! — machinalnie powtórzyłam, uderzona tragicznością tego losu, który męczarnią tęsknoty i żalu rozdzierać musiał serce kobiety.

— Nie zobaczyła — westchnęła Gruszecka, — i nie zobaczy go już z pewnością na tym świecie. Taki kawał czasu... Z końca ziemi możnaby dać znać o sobie. Nie żyje już z pewnością, a ona nie wie nawet nieboga, gdzie mu grób wykopano i czy w swojej, czy w obcej leży ziemi. Taki kawał czasu!

— Życie całe! — myślałam, — takie długie, tak wolno się wlokące, gdy smutek na niem zaciąży.

— Ot! i widzi pani — zwolna kończyła Gruszecka, ocierając łzy z oczu,—na jaką to ja dolę hodowałam tę swoję niebogę. Wylałam też łez nad nią niemało.

— A ona? czy bardzo rozpaczała?

— Bóg strzegł... nie dostąpiła do niej rozpacz. Zpoczątku powtarzał ojciec codzień: „Dług opłacasz... nie przystoi targować się z wierzycielem,” a i ona tak samo myślała. Miała zresztą nadzieję, że powróci jeszcze pan Kazimierz, a jak nie wróci, to napisze, da znać o sobie wezwie ją może do siebie... Szukał go sędzia, szukała rodzina jego. Na kraj świata byłaby pojechała za nim. A potem, jak płynąć zaczął miesiąc po miesiącu, i rok upłynął, i półtora i dwa już prawie dobiega, a tu nic i nic, straciła już widać nadzieję. Nie pytała już o nic sędziego, nie posyłała na pocztę i całemi tygodniami jak grób milczała nieboga. Krajało nam się serce nad nią, próbowaliśmy ją pocieszać, jak nam się zdawało najlepiej, ale co tu było mówić, proszę pani... Ot! gadanie próżne, od którego uciekała jak od ognia.

(*Dokończenie nastąpi.*)

HYGIENA

IV.

Mówiliśmy poprzednio, że z rdzenia kręgowego bierze początek 31 par nerwów; zajmiemy się teraz poznaniem przynajmniej ważniejszych splotów i nerwów rdzeniowych. I tak:

Nerwy szyjowe dzielą się na dwie grupy, z których każda, to jest górna i dolna, utworzoną jest z czterech par nerwów szyjowych. Nerwy szyjowe górne zaopatrują skórę okolicy ucha, potylicę, szyję, części okolicy ramieniowej i górną część piersi, oprócz tego dają gałązki do mięśni szyi i do przepony. Pojedyncze nerwy tej grupy noszą nazwiska odpowiednio do swego położenia, na przykład nerw potylicowy, uszny, szyjowy, nadobojczykowy, przeponowy i t. p., a połączenie przednich gałązek nerwów szyjowych nazywamy splotem szyjowym.

Nerwy szyjowe dolne zaopatrują mięśnie i skórę karku, oraz mięśnie i skórę kończyny górnej. Łącząc się z sobą, tworzą one splot ramieniowy, z którego powstają następujące nerwy zaopatrujące kończynę górną, n. piersiowy tylny, boczny i przedni, n. nadłopatkowy i podłopatkowy, oraz nerwy kończyny górnej, jako to n. pachowy, pośrodkowy, skórno-mięśniowy, łokciowy i promieniowy. Wymienione tu nerwy dzielą się jeszcze na drobne gałązki, które rozgałęziają się w mięśniach lub w skórze.

Nerwy grzbietowe, inaczej zwane międzyżebrowe, dzielą się na przednie i tylne, przebiegają w mięśniach grzbietowych i międzyżebrowych, oraz zaopatrują skórę grzbietu, piersi i brzucha w nerwy czuciowe. Nerwy te często bywają siedliskiem choroby, zwanej newralgią międzyżebrową, która się objawia silnym bólem pomiędzy 3 i 4 żebrem od przodu i od tyłu; niekiedy ból taki umiejscawia się między 7 i 8 żebrem.

Nerwy lędźwiowe dają gałązki mięśniowe: skórne dla dolnej części tułowia, a oprócz tego tworzą *splot lędźwiowy*. Ważniejsze nerwy wychodzące ze splotu lędźwiowego zaopatrują biodro i kończyny dolne, jak na przykład nerw skórny, udowy, zewnętrzny, nerw udowy, skórny, udowy przedni i t. d. Z nerwów lędźwiowych i poczęści z krzyżowych utworzony jest splot siedzeniowy, z którego biorą początek liczne nerwy mięśniowe i skórne, jak na przykład n. skórny tylny uda, n. kulszowy, który bywa siedliskiem newralgii, zwanej ischiatyką, n. goleniowy, strzałkowy, łydkowy i t. d.

Pomijamy inne nerwy, jako mniej dla nas ważne, a zajmiemy się wkrótkości tak zwanym układem zwojowym.

Tu należy wspomniany już kilkakrotnie powyżej *nerw sympatyczny wielki*, który, zawierając liczne gangliony nerwowe, przedstawia się do pewnego stopnia niezależnym od ośrodków mózgowych.

Gangliony czyli zwoje nerwu sympatycznego położone są częścią w czaszce, częścią wzdłuż kręgosłupa, i łączą się z sobą nitkami nerwowemi. Dlatego to odróżniamy zwoje czaszkowe, szyjowe, piersiowe, brzuszne i t. d.

Zwoje czaszkowe nerwu sympatycznego wchodzą w połączenia z nerwami czaszkowemi.

Nerwy i sploty nerwowe, pochodzące od nerwu sympatycznego, zaopatrują narządy wewnętrzne naszego ciała, a mianowicie płuca, serce, żołądek i kiszki, wątrobę, śledzionę, nerki, przeponę i inne, nakoniec naczynia krwionośne, jak tętnice i żyły. Z tego to powodu układ nerwu sympatycznego wywiera ważny wpływ na nasze życie roślinne, a mianowicie na oddychanie, krążenie krwi, trawienie, wydzielanie soków potrzebnych do trawienia, jak ślina, żółć, sok pankreatyczny, dalej na wydzielinę moczu, i wiele innych czynności niezależnych od naszej woli; nerw sympatyczny zarządza naszem życiem roślinnem, dlatego też nazywany bywa układ sympatyczny układem życia roślinnego.

Budowa nerwu sympatycznego nadzwyczaj jest zajmującą. Zwoje nerwowe składają się z komórek nerwowych, które się łączą między sobą za pośrednictwem włókien nerwowych.

Cierpienie układu nerwu sympatycznego w rozmaitych jego oddziałach bywa przyczyną rozmaitych chorób organów wewnętrznych, które wyrażają się odpowiedniemi zaburzeniami czynnościowemi tych organów, albo też nawet występują pod postacią newralgii.

Tak nerwobóle żołądkowe lub kiszkowe zależą od cierpienia odpowiednich splotów nerwu sympatycznego, zaopatrujących żołądek i kiszki.

Naczynia krwionośne zostają także pod wpływem nerwu sympatycznego, który regulując skurcze serca, zarządza krążeniem krwi w całem naszem ciele.

Widzimy z powyższego, że wszystkie części składowe naszego ciała, czy to mięśnie, czy trzewia, czy naczynia krwionośne, zależą od układu nerwowego, który na ich czynność wywiera wpływ bezpośredni.

Przebaczcie mi, szanowne czytelniczki, że uwagę waszę zająłem wciągu kilku artykułów kwestyami teoretycznemi, które napozór nie mają żadnego związku z hygieną.

Te jednak krótkie wiadomości o układzie nerwowym, który jest siedliskiem wszystkich władz duchowych i czynności fizycznych naszego organizmu, potrzebne nam są koniecznie do zrozumienia, że hygiena mózgu i nerwów, oraz hygiena umysłu powinna być podstawą naszego życia i w hygienie ogólnej pierwsze zajmować miejsce. Szczególniej w naszych czasach, „fin de siècle,” gdy wychowanie, literatura, sztuka, polityka i wszystkie inne czynniki tak ujemnie oddziaływają na nasz mózg i nerwy, że czynią je niesłychanie wrażliwemi, winno być zadaniem matek i ojców troskliwe pielęgnowanie nerwów młodego pokolenia, czego bez znajomości ogólnej budowy mózgu i nerwów wypełnić nie zdołają.

Mózg, jak każdy organ naszego ustroju, podlegać może chorobom tak u dzieci, jak i u dorosłych. Oprócz wrodzonych wad rozwoju i chorób ztąd powstałych, są pewne choroby, rozwijające się po urodzeniu, wskutek uderzenia, upadku, przeziębienia głowy lub przepalenia słońcem. Tu należą rozmaitego rodzaju zapalenia mózgu i jego opon, będące postrachem matek, jako po większej części nieuleczalne. Tu należy tak zwane wodogłowie, o którem mówią w mowie potocznej, że dziecko ma wodę w głowie. Choroba ta może być wrodzoną lub nabytą, a polega ona na tem, że w komórkach mózgowych zbiera się większa ilość płynu, niż w stanie normalnym, mózg zanika częściowo, a główka dziecka powiększa się do znacznych rozmiarów. Niekiedy u dzieci jako wrodzona choroba występuje paraliż kończyn dolnych, który zwykle dopiero w parę miesięcy daje się zauważyć.

Któraż z matek nie zadrży na wspomnienie konwulsyj, tej choroby tak często występującej u dzieci?

Konwulsye czyli drgawki polegają na ruchach rączek i nóżek, ruchach gałek ocznych, które się zawracają ku górze, przy utracie przytomności. Powstają one zwykle niespodziane, albo poprzedzone bywają płaczem dziecka.

Skoro atak przeminie po kilku lub kilkunastu minutach, dziecię zmęczone zasypia lub drzemie, poczem drgawki mogą się powtórzyć albo nie.

Przyczyną konwulsyj może być choroba mózgu, albo też, jak to bywa u dzieci małych, prosta niestrawność.

Niekiedy w początku chorób ostrych, jak zapalenie płuc, odra, ospa lub szkarlatyna, występują konwulsye, a przyczynę ich tylko lekarz poznać i usunąć potrafi. Niekiedy obecność robaków w kiszkach wywołuje konwulsye, nie należy jednak zawsze upatrywać tej przyczyny, gdyż tylko racyonalne leczenie chorobę w zarodku usunąć może, a opóźnienie lub zaniedbanie smutne sprowadza następstwa.

Skłonność do konwulsyj, do chorób mózgowych i nerwowych odziedziczają zwykle dzieci po rodzicach. Tem więcej przeto należy na nie zwracać uwagi w tych rodzinach, w których spotykają się hypokondrya, hysterya, epilepsya, wszelkiego ro-

dzaju nerwobóle, a szczególniej choroby umysłowe.

Wiek obecny, nazwany słusznie wiekiem nerwowym, obfituje w najrozmaitsze choroby nerwowe, które zarówno często występują u mężczyzn, jak i u kobiet. Co gorsza, że nawet dziatwa nasza coraz częściej chorobom nerwowym ulega. Jakież są tego przyczyny i jak złemu zaradzić?

Jedną z najważniejszych przyczyn jest dziedziczność. Rodzice nerwowi przekazują swoim dzieciom choroby nerwowe lub usposobienie do nich, które w latach późniejszych przeradza się w chorobę. Są oprócz tego inne przyczyny usposabiające, pomiędzy któremi rozpowszechnione użycie i nadużycie napojów wyskokowych, jak wódki, wina i piwa, nadużycie tytoniu pierwsze zajmuje miejsce.

Niehygieniczne wychowanie młodego pokolenia, nieodpowiednie pożywienie, wczesna dojrzałość zdarzająca się u mieszkańców miast, przeciążenie pracą umysłową uczniów i uczennic, wywołują zbyt szybki rozwój umysłowy z upośledzeniem rozwoju fizycznego, i na tem tle łatwo powstają choroby nerwowe i umysłowe.

Słyszałyście zapewne, szanowne czytelniczki, o tak zwanej niemocy nerwowej, czyli neurostenii, o tej chorobie tak modnej dzisiaj i tak rozpowszechnionej pomiędzy nami, szczególniej w większych miastach, gdzie życie nasze upływa gorączkowo, gdzie ciągła walka o byt, codzienne kłopoty, przyjemności i przykrości wyczerpują szybko naszę siłę nerwową.

Straszna ta choroba, niemoc nerwowa, wyraża się rozmaitemi objawami i pod rozmaitą występuje postacią. Pomijając skłonność do nerwobólów, bólów głowy, utraty humoru i apetytu, złego trawienia i t. p., spotykamy tu przedewszystkiem zmienność usposobienia bez widomej przyczyny, łatwe wyczerpywanie się przy wielkiej pracy, tak fizycznej jak i umysłowej, przemijający smutek, rozdrażnienie, zniechęcenie i inne przypadłości, które niekiedy tak męczą chorego, iż nawet wiodą go do samobójstwa.

Najmniejszą przykrość chory głęboko odczuwa, najmniejsze niepowodzenie zraża go i zniechęca. Jakże przykrem jest życie neurostenika, który dla siebie i dla innych staje się ciężarem!

Hygiena każe nam baczną zwracać uwagę na układ nerwowy i podaje prawidła zapobiegania chorobom nerwowym. Ponieważ łatwiej jest zapobiegać, aniżeli leczyć chorobę rozwiniętą, wynniśmy przeto troskliwie badać stan nerwów u dzieci naszych od pierwszych lat życia i zauważywszy coś nieprawidłowego, zasięgnąć porady lekarza. Racyonalny tryb życia, odpowiednie pożywienie, ruch na świeżem powietrzu, przechadzki, gimnastyka, kąpiele zimne, pływanie, konna jazda, ślizgawka i wszelkie ćwiczenia ciała w zapobieganiu chorobom nerwowym pierwsze zajmują miejsce. Niekiedy choroby nerwowe rozwijają się na tle innych chorób, jak małokrwistość, blednica, katary płuc i kiszek, ponieważ choroby te upośledzają odżywianie całego organizmu, a zatem mózgu i nerwów. Dlatego-to dbając o wszystkie ważne narządy naszego ciała i o prawidłową ich czynność, wypełniać będziemy jednocześnie wszystkie przepisy hygieniczne dotyczące układu nerwowego, który ze wszystkiemi organami ciała w ścisłym zostaje związku.

W następnych pogadankach zajmiemy się niesłychanie ważną sprawą odżywiania naszego organizmu, dla zrozumienia jednak tego będziemy musieli w krótkości rozpatrzyć sprawę oddychania i krążenia krwi, która będzie dla was, szanowne czytelniczki, daleko więcej zajmującą, niż poprzednie uwagi o układzie nerwowym.

D-r Al. Malinowski.

W ZŁĄ GODZINĘ.

PRZEZ AUTORKĘ „MOLLY BAWN."

Przekład z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg.)

Zadzwonił i służący poprowadził Disneya po szerokich schodach, a potem otworzył drzwi i oznajmił jego przybycie niewyraźnem mruczeniem. Potem odszedł, zostawiając gościa niepewnego czy ma wejść, czy też się cofnąć. Scena która się ukazała jego oczom stanowiła dlań zupełną niespodziankę i Disney nie próbowałby nawet zaprzeczyć, że jest trochę zakłopotany.

Więc to była ona, ta poważna młoda osoba, którą widział w Parku siedzącą uroczyście w powozie? Gdzież się podziała ta surowość, którą wtedy zauważył? ta łagodność? Rozwiały się z powiewem wiatru, jak widać. Młoda osoba goniła po pokoju jamnika, zdradziecki jamnik! bez śladu powagi i godności na którą pozował na spacerze. A teraz szczekając głośno, biegał jak szalony po pokoju, wskakując na kanapy to znów chowając się pod nie, wciskając się pod wyginane nóżki lekkich stoliczków i gdzie się tylko dało. Uroczysty Chin-chin, przejęty widocznie nastrojem chwili, uciekał, goniony zawzięcie przez swoję panią, i używał chwili swobody.

Pani śmiała się tak serdecznie, jak pies szczekał, i bawiła się niezgorzej od niego. Zatrzymała się na widok wchodzącego Disneya i utkwiła w nim osłupiałe spojrzenie.

Wyglądała bardzo ładnie. Ładniej jeszcze niż w ów dzień stanowczy, gdy jego oczy pierwszy raz ją ujrzały. Była zarumieniona i krótki oddech wydobywał się z otwartych usteczek, podobna była do szczęśliwego dziecka z miękkiemi, potarganemi włosami i błyszczącemi gwiaździstemi oczyma. Rumieńce płonęły na jej licach. Stojąc tak wpatrzona w Disneya, zmieszała się czarownie i zawołała zadyszana:

— Och!

Doprawdy, gdyby włożyła drobny paluszek w różowe swoje usteczka, nie byłoby go to wcale zgorszyło, wydawałoby się zupełnie naturalne.

— Sądzę, że powinienem się usprawiedliwić z przybycia o tak nadzwyczajnej godzinie — zaczął Disney, podchodząc ku niej.—Obawiam się, że pani nie dosłyszała mojego nazwiska, służący mają swój odrębny sposób wymawiania. Disney... Ojciec pani, który mnie tu przysłał, zrobił mi nadzieję, że nazwisko to nie będzie obce dla niej.

Było jednak obce; Zunia, choć sumiennie przetrząsała pamięć, ażeby odszukać nazwisko Disneya, nie przypomniała sobie nic, zdradził to wyraz jej twarzy.

To tylko wiedziała, że ten młody człowiek był tym samym, który jej się tak niegrzecznie przypatrywał w parku.

— Nic nie szkodzi — rzekł Disney, który wiedział, że nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska i że nie przyszło jej na myśl wyratować się kłamstwem.—Mój ojciec był przyjacielem ojca pani oddawna, a ja pragnę mieć nadzieję, że kiedyś w przyszłości i my będziemy przyjaciółmi.

Powiedział to z tak rozpromienioną twarzą, że odniósł zupełne zwycięztwo i Zunia złożyła rączkę w jego dłoni. Popatrzyła jednak na niego z wielką powagą.

— Wszak to pan — zaczęła, — który... który... przyglądał mi się w parku, w zeszłym tygodniu?

Niewymowny strach ogarnął Disneya, lękał się, że wybuchnie śmiechem. Poskromił jednak brzydką pokusę i z wielkiem męztwem odrzekł:

— Miałem nadzieję, że pani tego nie zauważyła. Wyrzucałem to sobie tyle razy, lecz (sztucznie obmyślana pauza) było mi tak trudno.

I po chwili bardzo czule dodał:

— Pani najmniej przystoi gniewać się na mnie o to...

Pochylił się i pogłaskał łebek Chin-china.

— Wszak to ten sam piesek, który był wtedy z panią? — zapytał z pełną wdzięku śmiałością.

— Tak, ten sam.

Wzmianka o ulubieńcu przypomniała jej figle przed chwilą wyprawiane i zarumieniła się gwałtownie.

— To jest okropny pies — dodała, — taki roztrzepany!

— Czy być może?—zapytał zamyślony Disney.— Po pierwszem widzeniu wówczas, w powozie, sądziłem, że jest wzorem przyzwoitego zachowania.

— Bo tak jest rzeczywiście — odparła z pośpiechem pani Carden.—Tylko czasami zdarzają mu się wykroczenia, pomimo, że zazwyczaj jest przyzwoity. Na spacerze udaje poważnego, a w domu...

Zatrzymała się i po chwili wymownego milczenia, mówiła dalej:

— Nie możesz sobie pan wyobrazić, jaki z nim kłopot. *Zmusza* mnie do zabawy, czy mam ochotę, czy nie. A naturalnie nigdy nie mam ochoty. Przecież nie mogą mnie bawić gonitwy z nim, lecz on tak przeraźliwie szczeka, że...

Tu przerwała swoję opowieść i spotkawszy wzrok Disneya, wybuchnęła śmiechem razem z nim.

Śmiech jej był dźwięczny i szczery. Disney uważał, że jest ona taka, jaką sobie wyobrażał. Zachwycał się nią coraz bardziej, im dłużej ją widział. Nie był uwodzicielem, nie należał do rzędu tych wykwintnych, zdradzieckich ludzi, z pięknemi wąsami i cynicznem usposobieniem, o których tak często czyta się w powieściach. Nie miał żadnych podstępnych planów w głowie, gdy postanowił zrobić z nią znajomość. Nie miał żadnych innych zamiarów prócz tego, że był młody, lubił życie i jego przyjemności, że uważał ją za bardzo ładną i że każda ładna twarzyczka sprawiała mu radość.

Kochał się był już niezliczoną ilość razy i zawsze szczerze był przekonany, że przedmiot ostatnich zapałów jest jedyną na świecie obchodzącą go kobietą. Lecz teraz, gdy patrzył na Zunię, uśmiechającą się do niego i szczebiocącą z najzupełniejszą ufnością, powiedział sobie, że nareszcie wybiła dlań stanowcza godzina. Jeszcze wczoraj mógł wyobrażać sobie, że był kiedykolwiek zakochany, lecz teraz dopiero wiedział, co to miłość. Wszystkie jego poprzednie miłostki były błahe; tu dopiero, w tej chwili stanowczej, spotkał się ze swem przeznaczeniem.

Zunia, raz już opanowawszy pierwsze wrażenie, spowodowane jego wejściem, rozweseliła się bardzo i tak dobrze go zabawiała, że aż przeraził się spo-

strzegłszy, że bawił całą godzinę. Zerwał się z krzesła, lecz ona nie chciała słuchać nawet o jego odejściu przed śniadaniem.

— Będę sama zupełnie — zaczęła mówić z żałosną miną. — Pana Cardena niema w Londynie, a ojczulek nie wraca nigdy do domu przed siódmą. Będzie mi naturalnie smutno, lecz gdybyś pan zechciał zostać... byłoby to wielką ulgą. Wszak prawda, że pan zostaniesz? O! jak to poczciwie z pańskiej strony!

Istotnie był tak dobry! Zgodził się łaskawie ażeby pozostać, czując że niema w świecie potęgi, któraby zdołała wyciągnąć go z miejsca, dopóki ona życzyć sobie będzie jego obecność. Wtem rozległ się odgłos gonga i pani Carden, wziąwszy Chin-china na rękę, wskazała gościowi drogę do jadalnego pokoju.

* * *

Przez trzy miesiące, jak wiadomo, nawet po zjawieniu się na scenie pana Disneya, wszystko szło dobrze w domu Cardenów. A potem chmury zaczęły się zbierać i nadciągnęły. Nie było na to rady. Nadciągnęły nagle. Oblicze Cardena stało się jeszcze poważniejsze, jeszcze posępniejsze niż przedtem, a ci, którzy go znali dobrze, uważali, że pewna obawa przebijała zpod tej posępności.

Co się stało? Czy młoda żona w czem zbłądziła? Stare kwoki zaczęły potrząsać głowami i robić niewyraźne wzmianki o zazdrości, a kuzynka, która kupiła ów sławny kapelusz obrócony na kołyskę dla białych myszy, szepnęła w kąciku:

— Otello!

Dodawał barwy tym uwagom szczegół, że Carden w ostatnich czasach nie spuszczał z oczu żony, towarzyszył jej wszędzie i ścigał ją bezustannie wzrokiem, w jakiemkolwiek znajdowała się otoczeniu.

Dziewczka była widocznie zaniepokojoną tym nadzorem i wyraz jej twarzy zdradzał silne zdenerwowanie. Po pewnym czasie rozeszła się wieść, że Cardenowie nie bywają nigdzie. Usunęli się prawie zupełnie od towarzystwa i ludzie zaczęli już przebąkiwać, że on sam zabronił żonie przyjmowania jakichkolwiek zaproszeń. Był to doprawdy mściwy Otello! Zaczęto nawet zastanawiać się, czy się posłuży w danym razie poduszką, czy sądem przysięgłych, a wszyscy czuli, że ten ostatni sposób jest zbyt bezbarwny.

Pan Grautham był zaniepokojony i wspomniał cośkolwiek o tem Zuni, lecz niewiele się dowiedział. „Geoffrey nie miał ochoty bywać teraz w świecie,— powiedziała,—nie wie sama dlaczego, lecz tak jest zpewnością, a ona nie chce bywać sama bez niego." Powiedziała to wszystko z wielką prostotą, jak ktoś mówiący prawdę, lecz ojciec jej nie uwierzył. Czuł, że coś przed nim ukrywa. Jej blada twarzyczka przejmowała go obawą i napadały go chwilami straszne niepokoje na myśl, że przyzwolił na to małżeństwo. „Maj i Grudzień," brzmiało mu wciąż w uszach. Co czynić, jeżeli poznała zapóźno swoję omyłkę i żałuje, że zaślubiła człowieka dwa razy od siebie starszego?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIŚMIENNICTWO

Szesnastoletnia uczennica. *)

„Zawiele uczą się dzisiaj dziewczęta, a to *zawiele* nietylko jest zbytecznem, ale w dodatku i szkodliwem, bo zajmuje miejsce tego, co jest istotnie potrzebnem."

Temi słowy rozpoczyna Legouvé, autor chlubnie znany z prac traktujących o filozofii moralnej, ostatnią pracę swoję, wyłącznie dziewczętom poświęconą. Wychodząc z założenia, że dzisiejszy system edukacyjny, przeciążający uczennicę, więcej pamięć zbogaca, niż myśleć uczy, a o wykształcenie charakteru nie dba wcale, Legouvé uważa, że niezbędnie potrzebną jest rzeczą wypełniać powstałe ztąd braki i chcąc zadość uczynić tej potrzebie, przechodzi z „szesnastoletnią" niektóre przedmioty, znane jej już ze szkolnego wykładu. Przechodzi je wszakże poswojemu, ucząc przedewszystkiem szukać zawartej w nich zawsze nauki *moralnej*, której poznanie i przyswojenie darzy nas mądrością życia, tą prawdziwą, nie z książek, lecz ze zrozumienia ich treści czerpaną.

„Kobieta — powiada — wychowywana dla nieznanej przyszłości i nieznanego mężczyzny, powinna być uzbrojona siłą wewnętrzną, któraby jej w każdym wypadku życia przydać się mogła. *Wewnętrzną* zatem jej istotę kształcić potrzeba, tam rozpalić ogień niewygasły i światło niczem niezaćmione. Taki jest, nie inny, ostateczny cel udzielanych jej nauk, bo nauczycielem-mistrzem tego tylko nazwać się godzi, czyją lekcyą dopełnia po lekcyi praca myśli, kto przystępuje do wykładu z zamiarem pozostawienia w umyśle słuchaczy czegoś, co je przeniknie do głębi, co z nimi żyć, z nimi wzrastać i rozwijać się będzie. To tylko nauką jest prawdziwą, co przetrwa porę pobierania nauki, nauczyć się bowiem, zrozumieć, zapamiętać, to wiele wprawdzie, ale to jeszcze nie wszystko.

...„Kobieta powinna umieć wystarczyć samej sobie, powinna módz rozumieć myśli męża, również jak i to, czego dzieci jej kiedyś uczyć się będą."

Trzeba zatem nauczyć ją myśleć i czuć, to jest pojmować i uwielbiać wszystko, co w dziejach, w piśmiennictwie, w życiu, w całym wreszcie świecie moralnym zasługuje na uwielbienie, a „ogień niewygasły" tem usilniej rozniecać należy, że wychowanie dzisiejsze, rozmyślnie przytłumiając wyobraźnię, czyni z dziewcząt istoty chłodne, do krytyki usposobione, sceptycznie zapatrujące się na wszystko prawie, co przejmowało zapałem serca matek.

Taki sobie program postawiwszy, nauczyciel-filozof, zamiast prowadzić systematyczny wykład historyi na przykład, lub geografii, rozmową tylko uczy dzieweczkę znać kraj swój i przeszłość jego dokładniej, niż znała je dotąd, chociaż posiada w pamięci świeżo wyuczoną nomenklaturę departamentów, rzek głównych, dopływów, dat, imion, genealogii i t. d. Po takiej lekcyi Francya staje się dla młodziutkiej córy swojej czemś, jak sama przyznaje, „wyraźniejszem, więcej żyjącem, więcej do żywej istoty podobnem."

Cel zatem nauczania dopięty tem łacniej, że nadprogramowa edukacya wychowanki „lyceów" trzeciej rzeczypospolitej rozpoczyna się bardzo rozumnie, bardzo pedagogicznie lekcyą wstępną .. o „roli dzieci w poezyi." Wyzięblone serduszko, zanikłe uczucie poetycznego piękna muszą rozgrzać się i wstrząsnąć w zetknięciu z tem, co w życiu jak i w poezyi uśmiechem jest i wdziękiem, z dzieckiem, które po mistrzowsku wprowadza na scenę Rasyn, które opiewa Hugo, a Lamartine modlitwy uczy. I dopiero czarem poezyi myśl i ducha uniosłszy „nad poziomy," daje mistrz dziewczęciu piękną a mądrą naukę miłości kraju, w nadziei, że teraz już nie padnie na grunt nieprzygotowany.

I wogóle, uważając postaremu poezyą za dusz mistrzynię, Legouvé często do niej powraca i z wielką znajomością rzeczy korzysta z bogatego materyału, jaki mu ona podsuwa. Rozprawa o estetyce na przykład jest niczem innem, jak analizą „dwóch arcydzieł" (Polyeukta i Atalii), których piękności wykazuje, porównywa i rozumieć je uczy, ucząc przytem rozróżniać treść od formy i każdą z nich oceniać, jak należy.

W Kartezyuszu zlekka dotyka filozofii, ale że strawa to zaciężka na młodziutki umysł, w myśleniu jeszcze niewyćwiczony, więc też rozdział zaczyna się ostrzeżeniem: „Postanowiłem sobie mówić z tobą nietylko o tem, co rozumiesz, ale i o tem co rozumieć będziesz. Nauczanie jest przedewszystkiem siejbą; w umysły dzieci i młodzieży rzuca ona pojęcia, niby nasiona, które się ziemi powierza. Ziarna te nie zaraz wejdą, czasu potrzeba, aby korzeniami chwyciły się ziemi i łodygą, liściem, kwiatem, owocem z niej wyszły. Długo czasem czekać na to potrzeba, im później jednak zakwitną, tem bogatszy plon wydadzą." I krótko, przystępnie streściwszy system wielkiego myśliciela, obszernie zato mówi jej o nim samym, wzbudzając w niej zajęcie dla człowieka, zanim ją zajmie to, co pracą myśli wytworzył.

„Wielkoduszność i dobroduszność" to traktat ich psychologii, objaśniony przykładem uczącym, że najbardziej olśniewające postacie historyczne oceniać należy przedewszystkiem podług ich wartości moralnej.

„...Jest w dziejach postać olbrzymia, mąż dla którego historyk—i to jaki jeszcze historyk! — mniema, że określenie „człowiek" nie dosyć go jest godne. Nazywa go zatem ciągle „godnym podziwu śmiertelnikiem" „geniuszem" a słowo geniusz tak zdaje się stworzonem dla Napoleona, że pod piórem Thiers'a wcale nie razi amfazą. Wistocie wielki to geniusz jako wojskowy, wielki jako organizator, wielki jako prawodawca, wielki siłą woli, wielki wymową, wielki odwagą, a przecież przejdźmy pamięcią jego czyny, powtórzmy sobie jego słowa, odczytajmy korespondencyą, nie znajdziemy nigdzie nic, coby dowodziło, że wielki ten człowiek miał duszę dobrą, piękną i wielką."

„Odwaga kobiet," „Postacie dziewic u Moliera," „Moralność Lafontaine'a," „Kornel i Szekspir," „Udział kobiet w rozwoju umysłowym XVII wieku," oto tytuły rozdziałów, z których każdy roztrząsa kwestyą etyczną, literacką lub naukową w sposób tak przystępny i zajmujący, że tępą chyba lub niechętną musiałaby być uczennica, któraby z podobnych lekcyj nie odniosła pożytku moralnego i nie pojęła, jak niezbędnem są one dopełnieniem nabytych przez nią wiadomości. Pełno tu trafnych, doświadczeniem wypróbowanych wskazówek do pracy nad sobą, pełno nauk moralnych, często wznio-

---

*) „Une élève de 16 ans," par Legouvé.

słych, zawsze praktycznych i umiejętnie przewodniczących kobiecie tak na wyżynach duchowego życia, jak i na poziomie codziennego bytu.

Jednym z takich właśnie jest rozdział, któremu autor dał zagadkowy trochę tytuł: „Najlepsza przyjaciółka młodych panienek.” Ma się rozumieć, że każdej córce najpierwej przychodzi na myśl, że przyjaciółką taką jest matka. Uznając trafność tej odpowiedzi, objaśnia jednak autor — moralista starej daty—powiedzą może niektórzy, że tym razem nazwał tak... igłę! Od mitycznej Penelopy, aż do robotnicy dzisiejszej, biednej szwaczki igłą na chleb powszedni pracującej, przedstawia dziewczęciu cały szereg postaci kobiecych, dzierżących w palcach tę towarzyszkę wierną, przez tyle wieków niedostępną, a uosobiającą to, co w życiu najsłodszem jest i najgodniejszem szacunku: pracę!

— Chcesz — powiada na zakończeniem — złożymy we dwoje maleńkie koncylium i do kalendarza dodamy nową świętą.

— Jaką, dziaduniu?

— Świętą Igiełkę!

Nie posuwając się tak daleko w uwielbieniu dla narzędzia pracy najbardziej wśród kobiet rozpowszechnionej, mniemam jednak, że w epoce uganiania się za uczonością, rehabilitacya igły ma swoję dobrą stronę, szczególniej, gdy wychodzi zpod pióra tak w prostocie swej wytwornego. Bo i to jeszcze zaznaczyć trzeba, że ze wszech miar godna uwagi praca sędziwego autora odznacza się nietylko zdrową myślą, głębokim sądem i niepospolitą erudycyą, ale jeszcze pisana jest językiem dziwnie jasnym i jędrnym, wolnym od wszystkich naleciałości dekadenckich i umyślnie szukanych dziwolągów stylowych, jednem słowem językiem kształconym na najlepszych wzorach prozy francuzkiej, co dziś taką rzadkością się staje, że zalety tej milczeniem pominąć nie wypada.

T. P.

Z chwili bieżącej.

* **Zarząd naszych kuchen tanich** bezustanku uczciwie się krząta około swego zadania, które prawdziwie po chrześciańsku pojmuje i o jaknajszersze jego rozwiązanie wszelkiemi stara się sposobami. Uważa on za swój obowiązek dostarczanie jaknajzdrowszej i jaknajtańszej strawy tym, którzy na nią wiele wydać nie mogą, a tym sposobem wpływanie na umoralnienie tych, którzy wódkę poczytują za jedyny środek oszukania pustego żołądka.

W tym celu zarząd nie waha się narażać żelaznego poniekąd funduszu Tanich kuchen, pochodzącego z dobroczynnych zapisów. Tak uczynił niedawno, zakładając Kuchnią tanią na Czerniakowskiej, dla tamtejszej ludności robotniczej; tak samo zamierza uczynić teraz, zakładając nową Kuchnię na zbiegu ulic Chmielnej, Żelaznej i Srebrnej. Wezwał już do współudziału w tem dziele okolicznych fabrykantów i zarząd kolei żelaznej Warszawsko-wiedeńskiej, jako strony najbliżej w tej sprawie interesowane. Kolej Wiedeńska odpowiedziała iż wyznacza na ten cel 500 rs., kilku przemysłowców przyrzekło również swój udział. Spodziewamy się, iż potrzebny fundusz zbierze się niebawem, a tymczasem zacnym zabiegom życzymy: „Szczęść Boże!”

* **Pamiętników Talleyranda** wyjdą niebawem dwa pierwsze tomy; pozostałe trzy ukażą się dopiero w jesieni. Wychodzą one pod kierunkiem księcia de Broglie, który też opatrzył je przedmową. W tej przedmowie, opublikowanej już przez niektóre dzienniki paryzkie, mieści się nieznany dotąd testament Talleyranda. O ile w samych pamiętnikach słynny dyplomata mało mówi o sobie, o tyle testament jego jest rodzajem *orationis pro domo sua*. Broni on w nim iście kameleonowej zmienności swojej, która mu pozwalała zmieniać rządy jak rękawiczki i służyć każdemu, który był górą. Twierdzi, iż czynił to z głębokiego przekonania, że pod każdym rządem można krajowi służyć pożytecznie, i że każdy rząd upadający, dowodzi tem samem, że był zły i niestosowny dla kraju. Nas przekonania te przekonywają tylko, że żadnych przekonań nie miał ów głośny dyplomata, który gdyby był o tyle uczciwym, o ile był zdolnym, byłby bezsprzecznie jednym z najznakomitszych ludzi na świecie.

W każdym razie Pamiętniki jego będą jedną z najciekawszych i najważniejszych dla historyi ostatnich czasów publikacyj.

* **Pociągi spacerowe.** Istnieje myśl urządzenia w lecie pociągów spacerowych z Warszawy na Iwangród, Kielce, Olkusz, Dąbrowę i z powrotem. Wycieczka taka, dająca poznać interesującą a wielu nieznaną część kraju, powinnaby znaleźć licznych amatorów, a projektowane pociągi mogłyby się sowicie opłacać, byle jazda niemi była o ile tylko może być jaknajtańsza. Jest-to warunek *sine qua non* ich powodzenia.

* **Teatr.** Subwencya pobierana dotąd ze skarbu przez teatra warszawskie w kwocie 30,000 rs., powiększona została do 60,000 rs. Przebudowa teatru Wielkiego postępuje naprzód, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa, przedstawienia w przebudowanym gmachu nie będą mogły rozpocząć się przed jesienią.

* **Dwa obrazy.** W dwóch salonach artystycznych mamy w tej chwili dwa olbrzymie płótna mistrzów zagranicznych: w salonie Krywulta „Bachusa i Aryadnę” Makarta, a w salonie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych „Biczowników” malarza francuzkiego Karola Marra. Oba te płótna, stanowiące między sobą kontrast kolorystyczny, godne są widzenia. „Bachus i Aryadna,” obraz uznany za najlepszy z utworów przedwcześnie dla sztuki zmarłego wiedeńskiego mistrza kolorytu, imponuje bogactwem barw i bujnością kompozycyi, pełnej ciepła i życia. „Biczownicy” przeciwnie, nie zalecają się kolorytem; obraz to szary i monotonny, ale pierwszoplanowe postacie doskonale są postawione, a głąb ma dużo powietrza i przestrzeni.

* **Dla niewidomych,** których pole działalności i zarobków tak jest ograniczone, otwiera się nowe zajecie, dzięki przykładowi danemu przez Paryż. Francuzi, zważywszy że służbie przy telefonach nie tyle potrzebny jest wzrok, co słuch dobry, który to właśnie zmysł u niewidomych wysoko bywa rozwinięty, postanowili telefony swoje w znacznej części obsadzać nieszczęśliwymi, dotkniętymi strasznem kalectwem ślepoty. Spodziewać się należy, że przykład ten i w innych krajach znajdzie naśladowców.

* **Koronowana Republikanka.** Jak dalece od bogactwa może się w głowie przewrócić, dała na sobie przykład żona głośnego milionera amerykańskiego Vanderbildta. Pani ta kazała sobie w Paryżu zrobić koronę zupełnie podobną do korony królowej Wiktoryi i w stroiku tym, który ją kosztował tylko 7,500,000 franków, wystąpiła w loży na jednem z ostatnich przedstawień teatralnych w Nowym Yorku. Ta koronacya *in partibus* chybiła jednak spodziewanego efektu; rodacy koronowanej republikanki wyśmiali ją na cały głos, bez ceremonii.

* **Małżeństwo literackie.** Wnuczka Wiktora Hugo wyszła w tych dniach zamąż, za syna znanego powieściopisarza Daudeta. To bardzo ładnie; ale to smutno, że ślub odbył się tylko cywilny, w merostwie, a jeszcze smutniej, że stało się to wskutek wyraźnej woli, wyrażonej w testamencie przez wielkiego poetę, który, jak wiadomo, pod koniec życia zdradzał pod wielu względami pewne zboczenia umysłowe. Na ślubie tym, który, jako coś niepospolicie doniosłego, wynoszą tylko Żydzi, zapominający, że sami nie znają innego ślubu tylko w bóżnicy i przed rabinem, otóż na ślubie tym nie było pani Carnot, lubo zaproszonej. Pani prezydentowa za powód swej nieobecności bez ogródki podała charakter zawartego małżeństwa. Napada na nią za to prasa radykalna i żydowska, twierdząc, że się pochlebia Popieżowi, żeby otrzymała „różę złotą.” Tak jednak nie jest; pani Carnot jest podobno szczerze pobożną, choć to dosyć dziwnie wygląda na prezydentowę republiki bezwyznaniowej.

† **Ś. p. Józef Szlezygier,** b. profesor, b. urzędnik kolei żelaznej Wawszawsko - wiedeńskiej, zmarł w tych dniach w wieku lat 77. Jako profesor kochany przez uczniów, jako urzędnik szanowany przez kolegów i zwierzchników, nieboszczyk był ojcem dwóch utalentowanych artystek śpiewaczek: Maryi, zamężnej Kamińskiej, i Józefy, która do ostatnich czasów śpiewając w operze warszawskiej, obecnie przeniosła się do Lwowa.

Szczery żal rodziny, krewnych, i licznych przyjaciół i kolegów towarzyszył nieboszczykowi do grobu.

* **Z wiosną.** Znośniejsza pora, która obecnie po ciężkich tegorocznych mrozach nastąpiła, przywodzi na myśl wiosnę, a wraz z nią budzi troskę o dalsze losy niektórych robót, porozpoczynanych w roku zeszłym, albo i dawniej. Na pierwszem miejscu stoi tutaj rozpoczęta budowa kościoła na Pradze, na której dalsze prowadzenie prawie wcale niema funduszu. Spodziewać się należy, że społeczeństwo nasze nie da zmarnieć temu, co już dotąd zrobiono, i przyjdzie z pomocą komitetowi budowy; ale nie zaszkodzi przypomnieć tutaj, że jeżeli kiedy, to w podobnych razach dwa razy daje, kto prędko daje. Zwracamy też uwagę osób, któreby miały intencyą uczynienia jakiegoś pobożnego datku lub legatu, że jedna świątynia skończona więcej przyniesie pożytku wiernym, aniżeli dziesięć porozpoczynanych, i dlatego pamięci ich polecamy przed innemi świątynię na Pradze, jako tę, której budowa znacznie już jest posunięta.

* **Koncept angielski.** Że Anglicy swojego czasu, pojmawszy Joannę d'Arc, wytoczyli jej proces i spalili ją żywcem na stosie, jako czarownicę, to, jeżeli nie usprawiedliwić, przynajmniej zrozumieć można. Zresztą Anglicy ówcześni mścili się na Joannie za upokorzenie i klęski, jakie im zadała. Ale kiedy Anglicy ze schyłku XIX wieku postać, którą naród sąsiedni czci jako swoję bohaterkę, biorą za temat do błazeńskiej operetki, to już jest koncept ohydny, którego im darować niepodobna. A jednak, począwszy od połowy Stycznia, w Londynie, w teatrze Opery komicznej, grywają operetkę pod tytułem „Joanna d'Arc,” na której sfabrykowanie aż trzech składało się geniuszów: pp. Shine i Ross skleili libretto, a pan Osmond Carr podłał je sosem muzykalnym.

Pokazuje się, że dobry smak i poczucie międzynarodowej przyzwoitości nie są przywilejem przechwalonej anglo-saskiej cywilizacyi.

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

P. T. Z. Zapis ś. p. Jana Zacharkiewicza stosuje się tylko do służących, których państwo są stałymi mieszkańcami Warszawy.

Stałym prenumeratorkom W. C. Ż. Niepotrzebnie sz. pani przeprasza; miło nam bowiem zawsze służyć czytelniczkom wszelkiemi objaśnieniami, jakie tylko w mocy naszej leżą. W danym wypadku znajdujemy, że: 1) Karta wizytowa nie wystarcza, gdyż posyła się ją tylko w stosunkach etykietalnych, ludziom dla nas obojętnym. 2) Młoda osoba powinna napisać bilecik serdeczny, lecz nie poufały i... niezbyt długi, bo tych panowie nie lubią zazwyczaj. 3) Co do upominku, wszelkie drobiazgi własnej roboty wyszły oddawna z użycia. Wrazie zerwania małżeństwa — a przecież to się zdarza niekiedy — lub wrazie nietaktowności narzeczonego, ośmieszają one panienkę i żenują później. Wzamian jednak piękny kwiat wazonowy, albo fotografia własna w ładnych ramach są drobnym, a ujmującym dowodem pamięci, na który, ze strony narzeczonej, formy najlepszego towarzystwa pozwalają.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Февраля 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 9.

N. 1. Ubranie wizytowe. Krój i przód N. II.

Materya jedwabna faille czy reps, albo cienka wełna użyta na suknię wizytową przybraną aksamitką 4 c. szeroką. Spódnica podszewkowa kraje się krótko, zwierzchnia zaś podług fig. 17 z trenem (bryt c) podszytym podszewką w całej długości. Przedni bryt przybrany jest u dołu falbaną marszczoną, 25 c. szeroką, wyciętą w ząbeczki, u góry przyszytą aksamitką. Przód i boki sukni wszyte gładko, tylne bryty ściśle zfałdowane (od przecięcia oznaczonego podwójną linijką) i wszyte oddzielnie w pasek, przypinają się haftkami (patrz krzyżyk) na staniku pod kokardą z kawałka materyi 15 c. szerokiego. Na plecach przybranie z aksamitki, naszyte podług linii cienkiej na fig. 14; wzdłuż przodów dane aksamitki schodzące się bawetowo. Przy rękawach w górze przybranie w kształcie epoletów, marszczone z falbanki 15 c. szerokiej, w ząbki wyciętej.

N. 2. Ubranie do pierwszej komunii.

Stosownie do pory zimowej lub ciepłej szyje się z białej wełny lub z białego muślinu; spódnicę kraje się do ziemi i zdobi kilkoma zakładkami, danemi nad szerokim obrębem; górny brzeg zakończa wypustka ze sznureczkiem. Stanik zapinany z tyłu na haftki ma podszewkę dopasowaną gładko, wierzch zaś z przodu i z tyłu ułożony w kontrafałdy 3 c. szerokie. Kołnierzyk stojący ogarnirowany koronką; rękawy marszczone mają wysokie obcisłe sztylpy, u ręki koronką oszyte. Szarfa z matowej materyi związana z tyłu; z boku kieszonka jedwabna. Na głowie podług zwyczaju francuzkiego czepeczek muślinowy lub tiulowy, oszyty riuszą i związany wstążką; można go zastąpić wianeczkiem róż białych. Welon muślinowy spuszczony na twarz, zakończony wokoło brzegów obrębem. Trzewiki białe—rękawiczki białe glansowane lub duńskie. Na szyi krzyżyk lub medaljon.

N. 3. Suknia ze stanikiem do paska dla młodej panienki. Krój i plecy N. VI.

Odszyta z kolorowej wełny ozdobiona naszyciem z wązkiej jedwabnej plecionki czarnej lub ciemniejszej od sukni. Spódnica z prostych brytów 275 c. szeroka z przodu i z boków zaledwie naddana, z tyłu zebrana w fałdy zwrócone do środka. Pasek plisowany, z przodu zdobny klamrą z tyłu rozetą z materyału. Krótki stanik ma podszewkę zapiętą środkiem na haftki, przody odwinięte w ranwersy a środkiem dodany plastron przemarszczany w górze. Fig. 27 daje formę kołnierza z ranwersami. Bufiaste rękawy poniżej łokcia wszyte w obcisłe sztylpy.

N. 4—6 i 13. Serweta z wyszyciem i koronką.

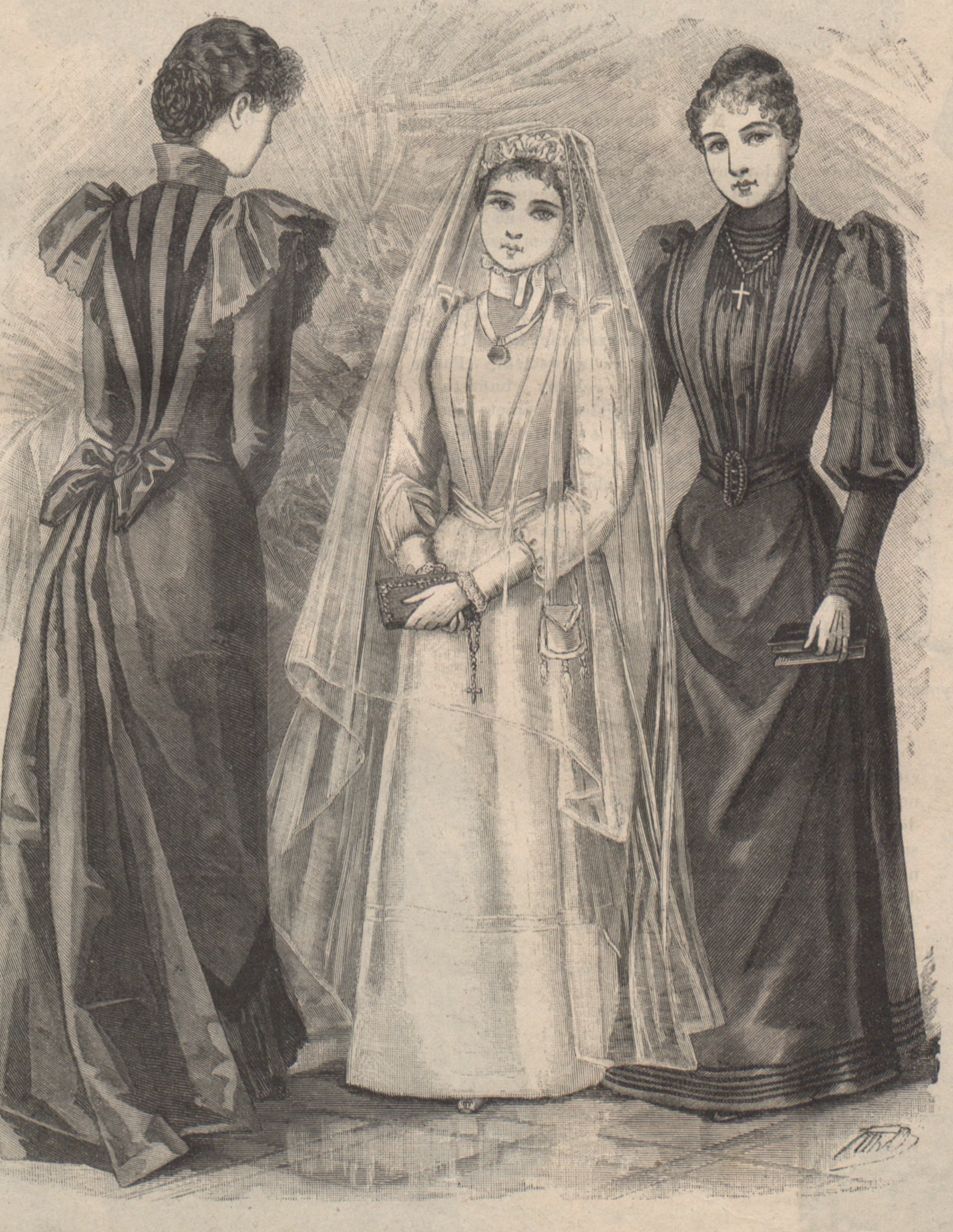
Gruba kanwa kongresowa stanowi tło liczące w kwadrat 80 c; wyszycie złożone z czterech rozet i liczące 212 ściegów (424 nitki tła) wzdłuż i wszerz, zaczyna się obliczać od środka, dając najpierw maleńką gwiazdeczkę. Rycina 6 daje więcej niż czwartą część deseniu środkowej gwiazdki i jednej rozety. Kontury ściegiem krzyżykowym wyszyte bawełną w dwóch cieniach niebieskich, na ścieg płaski, zapełniający deseń, użyta biała bawełna; zastosowanie kolorów widać na ryc. 6. Ramkę kwadratową stanowi szlaczek pięć ściegów szeroki, przedstawiony w naturalnej wielkości na r. 5; w odstępie po za nim dana kratka ażurowa, wiązana z 15 nitek. Brzegi serwety otacza koronka klockowa lub szydełkowa.

N. 7—8. Ubranie domowe z paletotowym stanikiem.

Długie paletotowe staniki z baskiną, częściami odcinaną, częściami krajaną w jednym ciągu, stanowią nowość przy ubraniach wiosennych. Krój do ryciny 7 może służyć ten sam, co przy r. 12; plecy stanika krajane w całej długości, przy boczkch i przodach odcinana baskina liczy 23 c. długości i podszyta jest materyą. Przody zapięte na dwa rzędy guzików u góry odsłaniają plastron; kołnierz stojący 6 c. szeroki, mankiety 18 c. wysokie. Spódnica składa się z części przedniej, u dołu 112 c. szerokiej, ku górze ściętej kliniasto do 90 c. i z tylnego bryta 170 c. szerokiego; górny brzeg z przodu i z boków lekko zmarszczony, z tyłu zebrany w ściśle fałdy i wszyty w pasek. Model sukni był z modnego, o długim włosie materyału himalaya w pasy czarne i piaskowe, przybrany 2 c. szeroką riuszą, naśladującą oszycie z piór.

N. 10—11. Okrycie pelerynowe. Krój N. III.

Z sukna lub pluszu na wacie lub samej podszewce, okrycie ma zgrabną pelerynową formę, z przodami i plecami krajanemi w jednym ciągu podług fig. 18. Oryginalność formy zależy na tem, że wysoko stojący kołnierz, krajany jest razem z okryciem. Dla braku miejsca formą fig. 18 musieliśmy dać przeciętą na dwie części: gwiazdka i dwukropek oznaczają zestawienie w całość części A i B. Najpierw trzeba podług znaczków ułożyć trzy fałdy, dalej zeszyć kołnierz i ramiona (fig. 19) od b do c i od d do e; następnie przymarszcza się na odstający rękaw od c do e, poczem wszywa plecy od f do g, a od g do h na dół dodaje część dopełniającą rękaw, złożoną w górze w fałdę; fig. 20 daje połowę tej części.



N. 1. Ubranie wizytowe. Krój i przód N. II. N. 2. Ubranie do pierwszej komunji. N. 3. Suknia ze stanikiem do paska dla młodej panienki. Krój i plecy N. VI.

N. 12. Paletot z odcinaną baskiną. Krój i plecy N. VII.

Model był z popielatego sukna, przybrany riuszą z czarnych piór, krajany niezbyt długo, bo tak moda obecna wymaga. Zmianę kroju stanowią plecy (fig. 33) nierozcinane środkiem; można rękawy, odcinaną baskinę i wykładany kołnierz dać z odmiennego materyału, albo też wyszyć sznureczkiem czy sutaszem, co przedstawia się bardzo efektownie.

N. 14—15. Serwetka podłużna z haftem i frendzlą (macramè). Deseń patrz fig. 47.

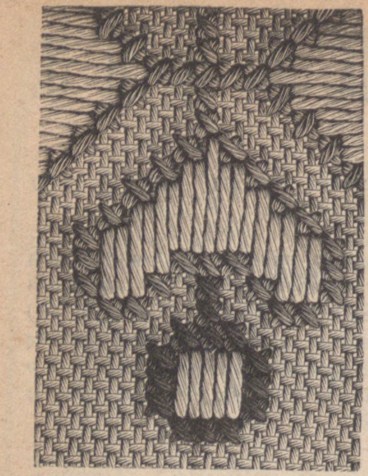
Liczy 50 c. długości(bez frendzli) a 43 c. szerokości i ozdobiona jest szlakiem haftowanym brązową bawełną i białym nicianym sznureczkiem. Deseń ułożyć można podług załączonego pod N. 1 arkuszu z krojami, na którym także dokładnie przedstawione są rozmaite rodzaje ściegów zapełniających figury deseniu; sznureczek obwodzący kontury przyszywa się do tła ściegiem obrąbkowym. Po obu stronach szlaku 14 c. szerokiego dane paski kratki ażurowej po $2^1/_2$ c. szerokie, między któremi zostawiony pasek tła wyszyty luźnym ściegiem, bawełną brązową; takież szlaczki idą wzdłuż serwetki a w punkcie krzyżowania się ich na rogach dane kwadraciki z pajączków. Brzegi poprzeczne zakończone frendzlą *macramé*, przedstawioną w naturalnej wielkości na ryc. 14, wiązaną z grubej żółtawej bawełny. Na każdą figurę deseniu potrzeba 44 podwójnych nitek, których końce w odpowiednich miejscach są wiązane razem i zaszyte mocno w kształcie pikotów. Przy zakończaniu frendzli potrzeba gdzieniegdzie dodawać jeszcze podwójne skręcone nitki po 12 i 14 c. długie, do których dodane kwaściki, przewiązywane bawełną brązową. Na kwaścik trzeba po 24 nitki po 4 c. długie—wykonanie objaśnia ryc. 14.

N. 16. Koronka klockowa. (17 par klocków). Tabelka i napięcie deseniu patrz fig. 50—51.

Dla osób zajmujących się robotą koronek klockowych wystarczy tabelka, załączona na końcu arkusza z krojami. Szczegółowe opisy tłumaczące dokładnie znaki i liczby tabelki były już przez nas opisywane w Tygodniku Mód, w roku 1888.

N. 17—18. Bluzka fałdowana. Krój N. II.

Rycina 17 — 18 przedstawia bluzkę używaną w Anglii jako ubranie domowe podczas godzin przyjęcia, nazwane *five o' clock*, łączące w sobie dogodność z elegancyą. Bluzka taka odszyta z kolorowej wełnianej krepy i białego kaszmiru, przybrana 5 c. szeroką koronką reticella. Spódnica do takiej bluzki może być biała lub tego co krepa koloru. Figura 1, 3—5 i 7 dają formę podszewki w naturalnej wielkości; pierwszy boczek kraje się tak samo i z materyału zwierzchniego, który na całość stanika kraje się podług fig. 2, 6, 8 i 9. Przody (fig. 2) są przy wykroju szyi od gwiazdki do 30 zmarszczone na 5 c., a dolny przymarszczony brzeg łączy się z podszewką w ten sposób, żeby wierzch opuszczał się w bufę. Wierżchni materyał pleców, pokrywający w jednym ciągu tylne boczki, jest na wcięciu stanu podług krzyżyków i kropek złożony w cztery zwrócone do siebie fałdy i dopełniony bufką na którą trzeba kawałka 80 c. długiego a 31 c. szerokiego. Figura 7 daje podszewkę rękawów, u dołu po linię cienką pokrytą mankietem podłożonym sztywną merlą; przy wszyciu w pachę rękaw przykłada się I do I. Cienkie linie na fig 1—6 oznaczają przyszycie wierzchu, otoczonego w około pachy wszywką; wierzch kraje się podług fig. 8. Kołnierz stojący z boku zapinany (fig. 9) również przy-



N. 4. Wyszycie ściegiem płaskim i krzyżykami, do ryc. 13.

kryty koronką, daną na pasku i na mankietach.

N. 20 i 22. Suknia wizytowa z długim frakowym stanikiem. Krój N. IX.

Przody stanika pokryte kami-

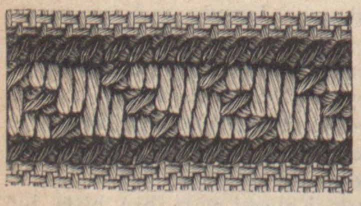


N. 13. Serweta z haftem i koronką. Patrz ryc. 4—6.

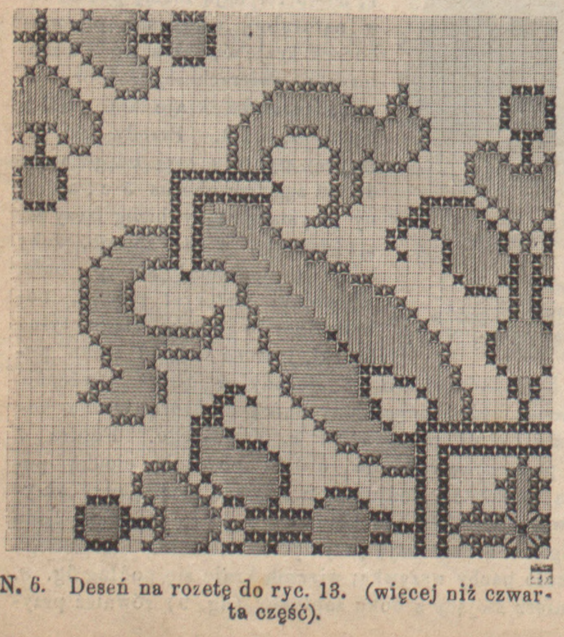
zelkowo fałdowynym muślinem a zachodzące na wierzch przody kaftanikowe okrągławo krajane, tudzież boczki i plecy stanika przedłużone frakowo, krajane z materyi surah, podług wymiaru wskazanego na fig. 40. Plecy i tylne boczki zeszywają się z sobą w całej długości, przyczem szerokość zbywająca w górze składa się w płaską fałdę zwróconą do spodu. Frakowo spuszczone części stanika podszywa się sztywnym muślinem i jedwabną podszewką, a u dołu ściśle zebrane w fałdę zakończa kokardami z wstążki repsowej 8 c. szerokiej. Zapięcie z przodu na haftki zasłania żabot z 16 c. szerokiej marszczonej koronki, przyszytej wzdłuż przodów i pokrywającej 5 c. wysoki kołnierz z wstążki. Pasek obciskający tylko przody, uszyty z wstążki i koronki; rękawy bufiaste w górze i u dołu obcisłe i zapięte na 12 c. wzdłuż. Figura 41 daje wymiar brytów sukni, w której część *a* jest z wełny, *b* z materyi surah; obie zszywają się z sobą podług znaczków, przyczem przedni brzeg boczny bryta b ma przyszyte fałdowanie z koronki. Na części *a* linia kropkowana przy krzyżyku oznacza środek tylny przy którym schodzą się fałdy, złożone podług znaczków od 1 do 189. Krótsza linia kropkowana poniżej punktu oznacza środek przodu; fałdy boczne, oznaczone w górze bryta *a* i *b* są ściśle zebrane i wypadają z obu stron fałdowania koronkowego. Model sukni był z białego wełnianego muślinu w grochy jedwabne, przybrany wstążką blado-lila



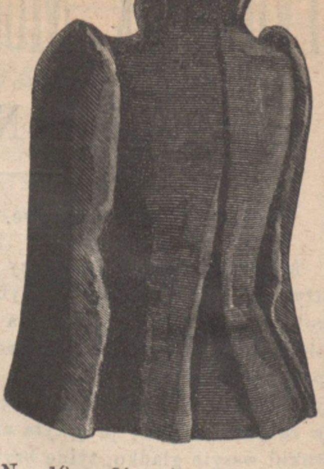
N. 7—8. Ubranie domowe z paletotowym stanikiem.



N. 5. Szlaczek do ryc. 13.



N. 6. Deseń na rozetę do ryc. 13. (więcej niż czwarta część).



N. 10. Okrycie pelerynowe. Kr j N. III. Patrz ryc. 11.

N. 12. Ubranie wizytowe. Krój i plecy N. VIII.

Przy sukni przedstawionej na ryc. 21 można zużytkować stare kosztowne koronki; złoto-żółta crêpe de Chine przedstawia się efektownie i wytwornie przybrana cienką czarną koronką 27 c. szeroką. Spódnica podszewkowa, z atłasu, ma u dołu dwie po 6 c. szerokie zachodzące na siebie, fal-



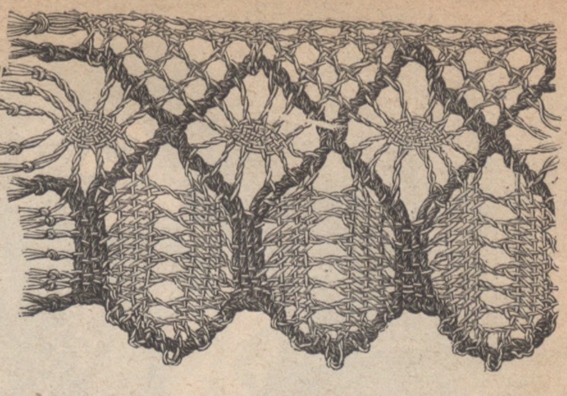
N. 9. Próbka roboty szydełkowej. Opis w N. 10.



N. 11. Okrycie pelerynowe. Patrz ryc. 10. N. 12. Paletocik z odcinaną baskiną. Krój i plecy N. VII.



N. 14. Frędzla robotą wiązaną (macramé) do ryc. 15.



N. 16. Koronka klockowa. Tabelka i napięcie deseniu patrz fig. 50—51.



N. 15. Serwetka podłużna z haftem i frendzlą. Patrz ryć. 12.



N. 18. Bluzka fałdowana. Patrz ryc. 17.

banki, plisowane i od spodu ma także dodaną atłasową balejezę. Figura 38 daje przez połowę wymiar brytów sukni zwierzchniej; górny brzeg na środku przodu podcięty, zostaje gładko, z boków fałduje się podług znaczków, z tyłu ściśle marszczy i wszywa w pasek. Dolne przybranie przodu koronką widzimy na ryc. 21, dana jest w zęby, podpinane rozetami z podwójnie wziętej krepy. Na fig. 37 litera *c* oznacza formę połowy materyału zwierzchniego pleców, który, jak to widać na fig. 39, złożony jest w dwie fałdy, na wcięciu stanu schodzące się do siebie; litera *a* daje prawą, litera *b* lewą połowę przodów z materyału. Potrzeba je zfałdować na ramionach i przy brzegu przednim od 45—70 i dopasować na podszewce tak, aby fałdy przechodziły skośno na piersiach; zapięcie zasłaniają rozety z podwójnej krepy, dane podług ryc. 21. Na ramionach od 1—10 materyał się przymarszcza, dalej zachodzi skośnemi fałdami (od 10—26) na kołnierz stojący a od 26—37 gładko przechodzi poniżej kołnierza. Nakoniec jeszcze przy dolnym brzegu (który następnie tworzy brzeg przedni) składają się fałdki oznaczone między 54 i 70. Przybranie u dołu stanika wymaga 270 c. koronki; bufiaste rękawy 54 c. szerokie, ujęte w obcisły mankiet 10 c. wysoki, kryty koronką, mają w górze epolety marszczone z kawałka koronki po 88 c. długości.



N. 19. Suknia z hiszpańskim kaftaniczkiem. Patrz ryc. 24. Krój N. V.

N. 24 i 19. Suknia z hiszkańskim kaftanikiem i uczesanie w hiszpańskim guście. Krój N. V.

Model sukni przedstawia gustowne połączenie sukna srebrno-popielatego koloru, z aksamitem koloru heliotrop w którym bardzo efektownie odbija haft popielaty. Stanik z krótką baskiną zeszyty środkiem przodów zapina się środkiem pleców na haftki kryte fałdą 3 c. szeroką. Rękawy bufiasto odstające w górze, zakończone obcisłym mankietem aksamitnym 20 c. szerokim. Wysoki kołnierz sukienny podszewkowany aksamitem od strony szyi, kraje się podług fig. 26. Na ryc. 19 widzimy, że spódnica 300 c. szeroka, z przodu lekko podpięta, zachodzi na stanik, brzegiem którego przyszywa się szwem odwracanym, zaś tylne fałdy ściśle zebrane i przypięte dwoma rozetami z materyału. Oryginalne dopełnienie ubrania stanowi kaftaniczek hiszpański, przedstawiony z przodu na ryc. 24; szyje go się na jedwabnej podszewce; długość pleców liczy 21 c., od pachy do dołu 12 c. Wysokie oryginalne uczesanie, podpięte grzebieniem i zdobne kwiatami.



N. 17. Bluzka fałdowana. Patrz ryc. 18. Krój N. I.



N. 20. Suknia wizytowa z frakowym stanikiem. Patrz ryc. 22. Krój N. IX.

N. 21. Ubranie wizytowe. Krój i plecy N. VIII.

Przepisy kuchenne.

Potrawa grecka, złożona z drobno posiekanego mięsa, upieczonego w ciaście.

(*Proporcya na osób 12*). Trzy funty polędwicy lub zrazówki tłustej drobno posiekać, a jeżeli mięso jest chude, dodać jedną piątą wieprzowiny, z którą jeszcze będzie smaczniejsze. W rondlu rozpuścić sporą łyżkę masła, wkrajać drobno cebuli, włożyć w to mięso, dodać zielonej pietruszki siekanej, pieprzu, soli i poddusić aby zbielało. Ciasto urządza się w ten sposób: wziąć kwartę mąki, troszkę tej mąki rozrobić jednem jajkiem, a resztę sparzyć osobno wrzącą wodą; skoro ta część zarobiona wodą przestygnie, połączyć obie i zagnieść jak na makaron. Poczem dzieli się ciasto na 20 równych części, każda cząstka rozwałkowywa na podłużne kawałki, smaruje masłem klarownem i układa 8 części razem jedne na drugich i 12 razem na sobie. Obie te partye rozwałkować potem jak najcieniej; część złożoną z 8 kawałków ułożyć na blachę wysmarowaną masłem, na tem rozsmarować mięso przestudzone i przykryć drugą częścią ciasta z 12 kawałków złożonego. Z wierzchu posmarować masłem i w piec wstawić na trzy kwadranse. Na stół podaje się krajane na stosowne kawałki.

Legumina z powideł.

Wziąć łyżkę powideł, dwie łyżki gęstej śmietany, pół filiżanki cukru i utrzeć dobrze, następnie dodać sześć żółtek po jednem, wiercąc w donicy bezustannie i białka na pianę ubite, z którą się tylko lekko miesza. Rondel smaruje się niesolonem masłem, do niego wlewa przygotowana massa i piecze się w piecu trzy kwadranse.

Ciastka do kawy.

Wziąć funt sklarowanego masła i cztery łuty najlepszej mąki, sześć jaj, sześć łyżek dobrych drożdży, sześć łyżek śmietanki, ubijać przez godzinę i postawić w ciepłem miejscu, aby ciasto wyrosło. Potem je rozwałkować i niewielkim spodkiem od filiżanki wykrawać placki, które się z wierzchu smaruje następującą massą: pół funta utłuczonych migdałów zmieszać z pół funtem cukru miałkiego, z trzema jajami, skórką otartą z jednéj cytryny i kawałkiem tłuczonej wanilij albo cynamonem. Gdy ciastka wyrosną wstawić do pieca i posypać cukrem.

Ciasteczka do herbaty.

Filiżankę masła klarowanego, dwie filiżanki wody czystej wlać do rondla, zagotować, wsypać na to 3 filiżanki mąki suchéj, wymieszać dobrze i podprużyć. Massę tę wyłożyć na miskę wbić jaj 6 całych i 6 samych żółtek, wypuszczając po jednemu, mieszać dobrze, potem na blachy posmarowane i mąką posypane rozsmarować cienko nożem i posypywać cukrem, cynamonem, skórką cytrynową tartą i migdałami słodkiemi. — Wsadzić w piec nie bardzo gorący: jak się zaczną wzdymać wyjąć i krajać podług upodobania w podługowate kawałki.



N. 22. Plecy do ryc. 20.

N. 23. Plecy do ryc. 2 w N. 10.

Ciastka anyżowe.

Proporcya: Cukru funt miałko tłuczonego. Mąki łutów 28 a jeżeli wilgotna funt jeden. — Jaj świeżych 6. Anyżku wysuszonego, jedną trzecią część szklanki. Cukier miałki wsypać do miski polewanej, wbić w niego 6 jaj i trzeć łyżką drewnianą przez godzinę w jedną stronę, potem dodawać po trochu mąkę a naostatku anyż. Blacha wyciera się woskiem przy ogniu, na niej układają się łyżką srebrną okrągłe niewielkie ciasteczka, które kwadrans powinny być w miernie gorącym piecu; po upieczeniu należy zaraz zdejmować z blachy.



N. 24. Suknia z hiszpańskim kaftaniczkiem. Patrz ryc. 19. Krój N. V.